

Jarosław Iwaszkiewicz



**BRZEZINA**  
i inne opowiadania

CZY  
TEL  
NIK



J a r o s ł a w  
Iwaszkiewicz

---

**BRZEZINA**  
i inne opowiadania

Czytelnik

Projekt okładki i karty tytułowej  
Andrzej Heidrich

Wyboru dokonał  
Janusz Drzewucki

Redaktor  
Bianka Dziadkiewicz

© Copyright by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”,  
Maria Iwaszkiewicz-Wojdowska, Magdalena Markowska, 2006, 2017

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa  
Warszawa 2017. Wydanie IV w tym wyborze  
Ark. wyd. 30,6; ark. druk. 32,25  
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza  
im. W.L. Anczyca SA, Kraków

ISBN 978-83-07-03428-7

# Panny z Wilka

Wojna już dawno minęła. Wiktor Ruben w kieracie codziennej pracy zapomniał zupełnie o niej i zajmowały go tylko sprawy powszednie, bardzo jednak absorbujące. Tym bardziej nie myślał o czasach przed wojną, czasach ubogiej młodości, orki, uniwersytetu, któremu poświęcił tyle czasu, a którego nie mógł skończyć, gdyż z orbity normalnej wytrafiły go wypadki historyczne. No, a potem to już tak poszło, tak nim zawinęło, że ani pomyślał o młodości, a tutaj tymczasem zbliżył się czterdziesty rok życia. Bardzo był przepracowany, ale to tym lepiej, powiadał, nie miał czasu na żadne rozmyślenia, a wiedział przecie z praktyki, że to do niczego nie prowadzi. Śmierć Jurka naruszyła jednak jego równowagę, nie mógł się z nią oswoić i poczuł się tak źle, że zwrócił się o poradę do lekarza.

Nie była to porada poważna, oczywiście; nie poszedł do żadnego gabinetu, nie jeździł specjalnie do Warszawy. Zlazł był właśnie z wózka, którym przyjechał z pola – było to w początkach lata – doktor wysiadł z samochodu, aby jak zwykle zrobić cotygodniowe odwiedziny zakładu. Wiktor od trzech lat był zarządzającym małego folwarczku, zapisanego towarzystwu ociemniałych, i gdzie co roku urządzano kolonię letnią dla ślepych dzieci. Doktor przyjeżdżał co tydzień i teraz także właśnie przybył. Wiktor pogadał z nim trochę, a potem powiedział, że się źle czuje. Nie sypiał w nocy, był bardzo zdenerwowany i nie mógł wcale pracować. I przy tym ciągle myślał o przyjacielu, który umarł przed dwoma miesiącami na suchoty. Podawał to wszystko od niechcienia, ale o Jurku spokojnie nie mógł mówić. Był to jedyny dotychczasowy jego przyjaciel, kleryk, siostrzeniec przełożonej kolonii, zupełnie zwyczajny człowiek, wierzący, spokojny, dobry. Prawie od dzieciństwa bardzo dużo pracował i musiał latać po mieście, odziany

w jakieś niewystarczające palto, przeziębiał się w parszywe warszawskie pogody i na tym tle wywiązały się tuberkuły. Umarł, zresztą, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa swego stanu, ale jak gdyby od dawna był na tamtym brzegu, do niczego się nie przywiązywał i jeśli nawet wiedział o tym, że umiera, już mu niczego nie było żal. Wiktor nie był przy jego śmierci. Jurek umierał w szpitalu, na wiosnę, Wiktor nie myślał, że to tak prędko nastąpi, trzeba było tyle zrobić na folwarku, który nazywał się „Stokroć”. Zakładali w tym roku pierwsze inspekta, i to od razu na dwieście okien, nawozu brakowało, nie było gdzie dostać, szarpano go na wszystkie strony, jeździł aż pod Błonie za tymi sprawami i wróciwszy, zastał wiadomość o śmierci. To mniej więcej opowiadał doktorowi, gdy siedzieli pod kasztanem, przed domkiem kolonijnym, i czekali, aż dzieci przyjdą ze spaceru. Doktor zjadał z brązowej miseczki zimne kwaśne mleko, które mu bardzo smakowało, bo dzień był gorący. Nic nie mówił, tylko potakiwał Wiktorowi i pomrukiwał nad mlekiem. Potem dopiero, gdy ujrzał w kurzu drogi drepcące szeregi i trzymające się gromadnie ślepe dzieci, spojrzął Wiktorowi w oczy:

– Wiktoru – powiedział (doktor do wszystkich mówił „ty”) – nie ma co gadać, jak dawno pan tu pracuje?

– Trzy lata.

– Nie ma co gadać. Wyjeżdża pan na trzy tygodnie. Powiem matce przełożonej. Janek pana zastąpi, a pan wyjedzie. Nie ma pan gdzie rodziny czy znajomych na wsi? Niech pan wyjeżdża.

Tym sposobem znalazł się w podróży. Dawno już myślał, aby odwiedzić te strony, ale to były takie westchnienia, jak postanowienia dalekich podróży, które robimy, patrząc na piękne fotografie, wystawione w oknach magazynów. Nie, nie myślał nigdy o tamtych czasach ani o realizacji tego; nie spotkał nikogo, nikogo od owych wakacyj, i nie wiedział nic o miejscu, do którego teraz szedł. Oczywiście, wszystko po drodze było takie samo. Przy stacji tylko, która dawniej gwarzyła samotnie przez drogę z opuszczonym żydowskim zajazdem, wyrosło teraz z dziesięć domów, gdzie roily się kolejowe interesy. Dalej był płot, zamykający skład węgla i drzewa, i dopiero potem, na prawo, zaczynała się ta szosa, która – ta już oczywiście – nic się nie zmieniła. Świeżo wówczas wybudowany dwór-willa z czer-

wonej cegły postarzał się, ogródek naokoło niego podrosł. Ale dalej przy szosie stały tak olbrzymie białodrzewy, że czas już nie mógł ich powiększyć, mógł tylko je obalić. Było ich może o parę mniej niż dawniej i Ruben przypomniał sobie, że w czasie wojny odbywały się tutaj krwawe walki. Kule siepały pewnie po tych pniach. On nie był tutaj, jego artyleria stała bardziej na północy, potem brakło pocisków, pamięta odwrót jak dziś. Ale tamte czasy, kiedy chodził lub jeździł tą szosą „do wujostwa”, pamięta lepiej niż zdarzenia dzisiejszego dnia. Bywał tu rzadko, matka nie lubiła wujenki, ale tym bardziej pamiętał. Potem droga szła w dół, był parów i wierzyby. Są i dzisiaj. Potem wychodzi się na górę i jest zagajnik. Wyszedł, ale teraz to już jest las. Ani wspomnienia wojny, ani obozu w Murmanii, ani ostatnich walk we Francji, ani atak na Kijów i tamten znowu odwrót, ani wspomnienia lat garnizonowych, ani prac samorządowych – nic, całe życie upłynione w mrówczych, nikomu niepotrzebnych zajęciach, nie dało Wiktorowi takiego poczucia minionego czasu, co widok tego lasu na miejscu dawnego zagajnika. Było to coś tak innego, nieoczekiwane odmiennego, zamiast srebrnych małych roślinek i żółtych króliczych dołów między nimi zobaczyć duże czarne drzewa, na tle igliwem zabitego klepiska. Zatrzymał się przez chwilę i westchnął. Pochylił się ku dołowi i zobaczył mały czarny słupek, znak graniczny wetknięty w kopiec na rogu. Ten się nie zmienił, poczerniał może, ale był taki sam. Znaczek ten pamiętał dobrze, siedzieli wtenczas przy nim, w pamiętnych dniach lipca, kiedy odjeżdżał na wieść o wojnach. Aż tutaj odprowadziła go Jola. Tutaj siedzieli, zjedli pierwsze jabłka, papierówki, które mu ona przyniosła na drogę, i poszedł. Konie od razu były zmobilizowane, nie miano go czym odesłać na stację, zresztą tyle razy przychodził i odchodził piechotą. Zaczął liczyć. To dziś piętnaście lat. Ani się obejrzał.

Fela, Julcia, Jola. Co się z nimi stało? Mimo woli przyśpieszył kroku, aby stanąć prędzej na górce, ale zagajnik wyrósł, nie miał już stamtąd tego co przedtem widoku. O wujostwo wiedział, że są, że mieszkają, że żyją, choć rzadkie, ale miewał o nich wiadomości. Ale o tamtym domu nic. Rozmijali się jakoś dotąd – a o to w świecie łatwo. I że też on tak o tym zapomniał, nie napisał, nie zapytał! Znowu zaczął liczyć w pamięci, co mu szło niesprawnie. Kroki mimo woli się zwalniały.

One przecie już stare, powychodziły pewnie za mąż. Oczywiście, Julcia miała wtedy lat dwadzieścia czy dwadzieścia jeden. Kazia mało co była młodsza. A Jola? Też musi być teraz po trzydziestce.

Wyszedł z lasu. Tu zaraz był słup graniczny i figura świętego Nepomucena. Spojrzał w tamtym kierunku. Ileż to razy, zawsze przecie idąc czy jadąc do wujostwa, zbaczał, nakładał dwa kilometry, aby zejść do tego dworu. Nazywał się zabawnie – Wilko; tak się nazywał folwark z dworem, wsi żadnej nie było. Zachodził tam, a nawet jedne wakacje spędził całkiem jako korepetytor Zosi. To było na rok przed wojną. O! to Zosia teraz pewnie jest dorosłą panną. Stał i patrzył.

W niedużej kotlinie, daleko, ale jak na dłoni, stały dwie wielkie stodoły, na krzyż do siebie zwrócone. Między nimi wielkie, niepotrzebnie wielkie, zielone podwórze, topole dwie stare, dalej dwór, dawniej kryty blachą, która stąd błyszczała, teraz czerwoną dachówką. To ładniej, pomyślał Wiktor i ucieszył się, jak gdyby to kto jego dwór pokrył nowym dachem. Za dworem gąszcz drzew, to sad, a potem znowu parę sosen bardzo wysokich, bo na wzgórzu stoją, a dalej lasek i łączka i znowu biała szosa, tamtędy się idzie do wujostwa, a na przeciwnej stronie kotlinki, na horyzoncie powinien być las. Ale nie ma, wycięli. Tylko jedno wielkie drzewo stoi, tamtędy teraz przejdzie, minąwszy drogę do Wilka.

Ale nie wytrzymał, machinalnie prawie, jak dawniej, jak gdyby to było umówione, skręcił na prawo, w stronę tego domu, o którym nie pamiętał tyle lat, i poszedł rażno, pogwizdując i machając teczką, w której dźwigał dwie koszule i szczoteczkę do zębów. Nie uznawał innych kufrów podróżnych. I jakby przechodząc obok swojej młodości, mijał garb zielonej trawy, wznoszący się po prawej stronie wyboistej drogi. Zaraz na lewo miała być kamionka, gdzie były najlepsze jeżyny, ale nie było jej; kamienie sprzedali. Potem droga schodziła coraz bardziej i Wiktor domyślił się, że nic się nie zmieniło tutaj, ani w nim się nie zmieniło; pola były zasiane, uprawione, tak jak piętnaście lat temu, jak dwieście lat temu może, on znowu z teczką, znowu w jedy-nym swoim ubraniu, znowu ledwie rozprostował nerwy po miejskim zalataniu. Aż zdziwił się, że tak wszystko zatarło się w jego pamięci: i Jurek, i Stokroć, i ślepe dzieci idące, trzymając się za ręce, szeregim. Latały równie prędko, równie dobrze jak widzące. Przecie jest



jeszcze zupełnie młody, skądże te głupie myśli o starości. Ile tam lat minęło, to wszystko jedno. On idzie teraz drogą na Wilko i pogwizduje, jest lato, jest ciepło, czerwiec, koniec czerwca, żniwa za jakie dziesięć dni. Może nawet wcześniej, bo pogoda sprzyja. To zawsze wuj tak mówił: „pogoda sprzyja”.

Zauważył już od dawna, że bardzo często, zwłaszcza wtedy, kiedy był zmęczony lub przepracowany, równoległe do toku myśli normalnie biegnących drogami skojarzeń, nagle w zupełnie niewytłumaczony sposób wynurza się jakiś pejzaż z widzianych dawno widoków, trzymał się chwilę na powierzchni świadomości, aż go zauważył i określił, a potem znowu zanurzał się w głębię. Po pewnym czasie wypływał znowu, ten sam albo częściej inny. I teraz właśnie, kiedy dochodził znajomą drogą do znajomego ogrodzenia, kiedy słońce świeciło „jak zawsze” i psy ujadły „jak zawsze” na bydło wracające z pola pogodnymi łąkami, wynurzył mu się przed oczami pejzaż też dawny, także letni – ale bardzo odmienny. Spalone pole, gorący kurz, z boku pod gruszą błysk zostawionego kulomiotu i pośrodku grzędę żytniego ścierniska kłębek szarych i zielonych łachmanów: trup zastrzelonego przed chwilą człowieka. Zidentyfikował. Tak, to podczas odwrotu kazano im rozstrzelać dezertera czy szpiega: małego chudego żołnierza, który spokojnie wypalił papierosa przed zgonem.

A potem obraz zapadł się. Znowu była wyboista droga, poznawał prawie pod stopą nierówności gruntu i ten deseń w małych zaroślach zielonego perzyku, który językami wlaził na ścieżkę, nie dbając na stałe przydeptywanie. Potem przyszło ogrodzenie, czworaki. Nikt go nie zauważył. Przed wieczorem wszyscy są tak zajęci, każdy ma coś do roboty, bydło, konie, kury i kaczki zabierają się do spania, a ludzie muszą dopilnować, zamknąć do obory czy kurnika, napoić i nakarmić przed nocą. Okrągłym hakiem podjazdu Wiktor Ruben wszedł przed ganek, przez ganek przeszedł: w przedpokoju owionął go zapach tego domu. Było tak, jakby się weszło do bufetu w stołowym pokoju: pachniało suchą herbata, metalem – jak z puszki – trochę, sosnowym drzewem, trochę, ale odrobinę, grzybami. Stał i machinalnie powiesił na prawo na haku teczkę, palto i kapelusz. Zobaczył tylko, że meble w przedpokoju były inne, ale nie myślał nad tym, bo w głębi za przedpokojem słychać było głośne rozmowy. Dużo kobiet mówiło ra-

zem, krzyczały także dzieci. Głosy były tak ludzaco podobne do tych, jakie slychiwał tu dawniej, że przekonany był, iż za chwilę zjawi się w progu malutka Tunia i zawoła: „Pan Wiktor przyjechał!”.

I rzeczywiście, ktoś odsunął krzesło ze śmiechem, wstał i wpadł do przedpokoju. Wiktor zobaczył w progu młodą i bardzo ładną osobę w jasnej sukni. Stała nieruchomo i popatrzyła na niego pytająco. Wiktor skłonił się tylko i nie wiedział, co ma powiedzieć. Panna czekała.

– Pan do pana Kaweckiego? – spytała niskim, ciepłym głosem.

– Ja – powiedział Wiktor i uśmiechnął się. Dziewczyna poznała go po tym uśmiechu. Krzyknęła głośno słowa sakramentalne:

– Jezus, Maria! Pan Wiktor przyjechał!

Pociągnęła go za rękę w głąb, do sąsiedniego pokoju, gdzie paliła się już lampa, mimo że na dworze było jasno. Tam otoczyło go mnóstwo kobiecych ramion, nagich i ciepłych, ktoś go nawet pocałował. Wołano: „Gdzie mama? gdzie mama? Mamo, Wiktor przyjechał!”. Ale mama, jak zwykle, nie zjawiała się i zresztą nawet nie wiadomo, czy pamiętała, kto to jest Wiktor. Co innego „panienki”, pamiętały go doskonale, zaraz mu to jedna z nich wyjaśniła. Była to gruba, ciepła, dobrze ubrana dama, bardzo korpulentna i nawet przez chwilę Wiktora zadziwiło, że mówiła mu „ty”. Podług wszelkich danych musiała to być Julcia, najstarsza; poznał nawet jej niski, piękny głos, pamiętny potem przez długie lata, ale osoba była czymś zupełnie innym. Zmieszany, oglądał się po obecnych, poruszenie ogólne powiększały jeszcze dzieci, chłopczyk i dziewczynka, skaczące dookoła niego, bezmyślnie się cieszące, bo przecież nie wiedziały, o co chodzi.

Tymczasem Julcia powoli objaśniała:

– Bo trzeba ci wiedzieć, że w Wilku stałeś się legendą. Mówi się zawsze, żeby to Wiktor był, toby naprawił; żeby Wiktor był, toby to, toby owo... Jeszcze niedawno mówiłam do Joli, że za czasów Wiktora to by się nie zdarzyło.

Oszołomiony Ruben odzyskiwał dobry humor:

– Wiesz, że zupełnie się tego nie spodziewałem. No, widzicie, tak się tworzy historia, ja, który byłem przekonany, że moja osoba przeszła przez Wilko jak cień. I dlatego nie starałem się przypomnieć, myślałem, że nikt tu o mnie nie pamięta.

– Źle myślałeś – powiedziała inna kobieta, tę poznał od razu, była to prześliczna Jola, najładniejsza z siostr – za każdym razem, cośmy były u wujostwa, pytałyśmy się o ciebie.

– Ale wujostwo nic nie wiedzieli – śmiał się Wiktor.

– A my się wszystkie zbieramy na wakacje w Wilku. Razem z dziećmi, z tłomokami. Często się mijamy, ale dziś jesteśmy wszystkie.

– A gdzie Fela? – zapytał Wiktor.

– Fela, Fela, chodź tu – zawołała Julcia – zobacz, jaka to ogromna dziewucha, no, chodź, Fela.

Z sąsiedniego pokoju wyszła duża, gruba, brzydka dziewczyna dziesięcioletnia, podobna, zresztą, w kolorycie do matki i ciotek, i przywitała się z Wiktorem.

– To moja starsza – powiedziała Julcia – a ta mała to moja druga.

– Tak, olbrzymie są już – powiedział z roztargnieniem Wiktor – nie wiedziałem wcale, że wyszłaś za męż. Ale ja się pytam o dużą Felę.

– Jak to, nie wiesz? – powiedziała cicho Julcia. – Fela umarła, o, już przeszło dziesięć lat temu. Na hiszpankę.

Wiktorowi zrobiło się bardzo przykro, nie uprzytamniał sobie na razie nawet, że to Fela umarła, tylko to, że popełnił niezręczność.

– Zaprowadzę ciebie na jej grób – powiedziała Jola. Poważna, chuda, najbrzydsza Kazia, zawsze gospodarna, podniosła się i powiedziała:

– Muszę zajrzeć do kolacji, zostaniesz z nami, prawda? – zwróciła na Wiktora oczy. Potem wyszła, a za nią poskakał chłopczyk, zapewne jej synek. Panie zasypywały znowu Wiktora pytaniami. Właściwie dwie tylko: Julcia i Jola. Dwie młodsze, dawne uczennice, trzymały się na boku i patrzyły zdziwione na przystojnego, zaniedbanego pana, którego prawie nie pamiętały: był to ów Wiktor z legendy. Gdy siedli do kolacji, Wiktor spojrzął po obecnych w jasnym świetle lampy. Jeszcze przechodząc z gabinetu, dokąd go wciągnięto, do stołowego, patrzył uważnie na Julcię. Nie, to zupełnie kto inny, te ruchy pełne powagi, ten gest godny, jak gdyby zakasywała rękawy, śmiech wesoły, ale opamnowany, ten spokój rozlany w każdym poruszeniu. To nie była dawna Julcia. Wiktor spojrzął na zebrane kobiety i powiedział:

– No, ale mówcie coś o sobie. Ja przez piętnaście lat...

– Nie licz, nie licz – zawołała wesoło Jola.

– ...przez piętnaście lat nie wiedziałem o was dosłownie nic, coście

robiły, gdzieście były. Kto jest zamężny, a kto nie, żebym nie robił gaf. No?

– Ja zamężna, dzieci dwoje – powiedziała Julcia. – Kazia rozwiedziona, jeden syn; Jola zamężna, bezdzietna; Zosia zamężna, jeden syn.

– Ojej, już! – powiedział Wiktor i spojrzał na swoją uczennicę. – A łacina?

Zosia zaśmiała się:

– Już ma dwa lata. Nazywa się Henio.

– Tunia, panna do wzięcia – ciągnęła Julcia. – To wszystko.

Wiktor uśmiechnął się i spojrzał na Julcię, potem na Tunię. Może najpodobniejsze były ze sobą, ale jakże inne. Tunia miała dziś tyle lat zapewne, co Julcia w tamtych czasach. Była może ładniejsza, mniej hoża, cieńsza w przegubach, delikatniejsza i miała spłoszone wielkie, szare oczy, podczas gdy Julcia miała niebieskie, ładne, ale banalne.

– A ty, Wiktorze? – spytała się Jola.

Wiktor znów się uśmiechnął, inaczej. Czy tam warto o nim mówić?

– Teraz pracuję, zarządzam folwarkiem fundacyjnym pod Warszawą, byłem w wojsku, byłem kapitanem, teraz jestem w stanie spoczynku. No, to wszystko...

I nagle popłynął przed nim, ponad twarzami tych białych kobiet, karawan obrazów, zdarzeń, mąk, walk i bezcelowych „czynów”. Pomyślał o życiu swoim pogmatwanym i połamanym w samym zaraniu i wstrząsnął się.

– Nie, nie, naprawdę, ja nic ważnego nie robię – powiedział. – Nie warto o mnie mówić, żyję, jak i wszyscy.

I poczuł: to dopiero jest straszne, że on żyje, jak i wszyscy, wszyscy tak żyją, jak on.

Pamiętał te czasy, kiedy tu bywał. Zawsze mu się wydawało, że życie będzie miał inne, obfitsze, bogatsze, niezwyklejsze niż wszyscy. Rozmawiał o tym tylko z Kazią. Z nią mówił bardzo mało zazwyczaj, ale raz na tydzień, raz na dwa tygodnie ucinali sobie rozmowę naprawdę ważną, która była, jak to nazywali wtedy między sobą, „etapem”. W czym? Nie zastanawiali się wtedy, czy etapem w ich rozwoju duchowym, czy w rozwoju ich przyjaźni, czy po prostu jakiejś drogi do jutra, nie pytali o to. Pamięta tylko, że jeden z „etapów” był

specjalnie poświęcony jego możliwościom na przyszłość. To było zaraz po jego maturze i Kazia namawiała go, aby nie szedł na prawo. Poza tym przestrzegała go, aby nie myślał, że to tak łatwo, że mu się życie tak ułoży – naiwnie formułowała istotne przestrogi, a jemu wszystko było mało. „To zabawne – pomyślał – że wówczas nigdy nie myślałem o niepodległości, a przecie tak było najłatwiej”. A jednak ona miała rację. Chciał popatrzeć na Kazię, spojrzeć jej w oczy, podziękować za te „etapy” – ale ona w tej chwili wychyliła się poza krzesło, aby przez plecy Joli i Zosi zobaczyć, co się dzieje na szarym końcu stołu, gdzie jej syn, Antoś, dokuczał którejś kuzynce. Ona już wtedy nie miała żadnych złudzeń, a jednak przebrnęła przez małżeństwo i rozstanie. Jakże to było wszystko? Nigdy się o tym nie dowie, o Kazi nigdy nikt nic nie wiedział, była zamknięta, małomówna, gospodarna. Pamiętał, że znowu go zadziwiła jej inteligencja, jak gdyby trochę źle umieszczona. Nie mogła z niej zrobić żadnego użytku, prócz pesymistycznych nastawień na przyszłość. „Ciekawy jestem – pomyślał Wiktor – co ona myśli o przyszłości Antosia?”

Julcia tymczasem mówiła mu o wujostwie, że wuj się bardzo postarzał, że ciotka zawsze taka sama. W połowie kolacji, cichutka i potulna, wypłynęła z dalszych pokojów „mama”. Nie znalazła żadnego słowa, aby nim powitać Wiktora, pocałowała go w głowę i usiadła w cieniu okazałej Julci, która siedziała na pierwszym miejscu. Nie zmieniło to ani na chwilę toku rozmowy, głośniejszej, ożywionej i wesołej, a „mama” zaczęła kolację nie od punktu wyjścia, tylko od chwili, w której przybyła do stołu, to znaczy od drugiej potrawy.

Jedna rzecz zastanowiła Wiktora, a mianowicie to, że go tutaj tak dobrze pamiętano, że przez piętnaście lat mówiono o nim w tym ustroniu, podczas gdy on myślał, że – nieznany i niepotrzebny ko-repetytor, młody człowiek przyjeżdżający na wakacje w sąsiedztwo – prześliznął się niezauważony i niepozorny przez pokoje dworu w Wilku, zawsze postawionego na szerokiej stopie. Okazało się jednak, że odegrał tutaj ważną rolę, z której nie zdawał sobie przez tyle lat sprawy. Był za młody, aby odczuć oczy tych kobiet na niego wówczas zwrócone. Dało mu to dziś do myślenia, ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym, bo musiał odpowiadać na pytania i słuchać, co mu opowiadają.

Uważnie patrzył na mówiącą Julcię i myślał o tamtych czasach. Jeżeli podczas lat wojennych, garnizonowych, pracy w samorządach, wreszcie w Stokroci, jeśli podczas tych trudów szarych i nieznośnych przypomniał sobie był Wilko, to nieodłącznie z twarzą i postacią, z głosem Julci. Nie tej damy dostojnej, gorącej, milej i poważnej, która teraz siedziała na końcu stołu i opowiadała mu jakże inne dzieje tych samych upłynionych lat niskim, dobrym głosem. Ach, nie, tamta Julcia była smukła, zgrabna, żywa, nieopanowana i mająca jakieś dziwne porywy. Zabierała go zawsze konno na spacer, na których nic z nim nie mówiła, grywali w tenisa. Nie było między nimi żadnego flirtu, żadnego zbliżenia się. Kokietowała go raczej Jola, młodzianka wówczas, szesnastoletnia i prześliczna panna. Nie rozmawiał z Julcią, tak jak z Kazią, wcale z nią nie rozmawiał, i zdaje mu się, że dzisiejsza właśnie rozmowa, którą tak zdecydowanie Julcia objęła w swoje posiadanie, jest właśnie najdłuższą rozmową, jaką dotychczas z sobą prowadzili. I jeszcze jedno myślał czasami przelotnie Wiktor Ruben. Myślał, że gdy się kiedy z Julcią jeszcze spotkają, wyjaśnią sobie wszystko. Teraz jednak pojął, że wszystko musi utonąć w przepaści lat minionych i nigdy już nie będzie wyjaśnione. I gdy teraz patrzył na Julcię mówiącą prędko i wyraźnie, na jej zimne niebieskie oczy i bardzo prawidłowe rysy pięknej twarzy, na błyszczące i obfite brylanty na nieco spuchniętych białych palcach, zrozumiał, że nic tutaj nie było do wyjaśnienia.

Aby to „wszystko” zrozumieć, należy sobie uprzytomnić topografię i zwyczaje dworu w Wilku. Przede wszystkim panny, dorosłe, nabierały manii, że każda musi mieć osobny pokój. Jeszcze trzy młodsze dławiono w olbrzymim „dziecinnym”, położonym za gabinetem, Jola miała tam swoją toaletę, ale sypiała w małym saloniku za dużym salonem, na kanapie, a Kazia i Julcia na górce. Górka, czyli pięterko, składała się z korytarza i czterech jednakowych pokoi. Wiktora umieszczono, gdy przyjechał tu na stałe, na wakacje trzydziestego roku, w gościnnym pokoju za Julcią. Oba pokoje miały bardzo podobne umeblowanie, zresztą, Wiktor często zaglądał do pokoju Julci po książki, po fotografie, które Julcia wywoływała, i znał doskonale jego rozkład.

Pewnego razu, już pod koniec wakacji, Wiktor bardzo długo wie-

czorem, w noc nawet, był z Jolą na spacerze. Pomiędzy stawami wilkowskimi a Rożkami wujostwa i tamtejszym sporym jeziorem ciągnęła się zarośnięta tatarakiem i rzęsą struga, kryjówka kaczek i zimorodków. Jola z Wiktorem postanowili popłynąć małą łódeczką wilkowską do wujostwa na kolację. Wypłynęli zaraz po podwieczorku, ale przeprawa była ciężka, czółno trzeba było parę razy przeciągać, rzeczywiście zajechali dopiero przed kolacją na rożeckie jezioro i mimo przedstawień wujostwa uparli się wracać tą samą drogą. Co prawda, noc była księżycowa, droga powrotna szła o wiele łatwiej, ale bądź co bądź przyjechali dosyć późno, kiedy dom cały spał, a psy były spuszczone z łańcucha. Wiktor rozmarzył się tym koleżeńskim obcowaniem z Jolą, która mu się najbardziej ze wszystkich siostr zawsze podobała, i co do niej jednej nie miał zupełnej pewności, że pozostaje na jego urodę i inteligencję obojętna. Godzinami pletli głupstwa, dokuwali sobie, dostawał klapsy, walczyli czasami z sobą, a potem razem jeździli na spacer, jak ten, albo wózkami do lasu, albo jeszcze gdzie indziej, do miasteczka; kąpali się razem i jeździli konno, a zawsze ich było słyhać z daleka, tak dużo i głośno, i bez żadnego sensu gadali. Milkli, kiedy się kto do nich zbliżał, ale tylko dlatego, że się wstydzieli bezmyślnej treści tych rozmów. Widywano ich razem i przyzwyczajono się do tego, nikogo to nie dziwiło, nie uważano tego jakoś za flirt, tylko za zażyłe koleżeństwo. Wiktor nawet jakiś czas, zaraz po maturze, korespondował z Jolą, ale potem to im wywietrzało. Tego wieczora, zmęczeni i senni, wrócili rozmarzeni i pożegnali się w salonie, gdzie jeszcze dla nich stała zimna herbata, chleb, masło i wędliny. Zjedli to wszystko i Jola poszła spać do swojej „alkowy”, jak nazywała salonik, a Wiktor szedł po schodach do siebie.

W zamyśleniu zupełnie nieświadomie otworzył, zamiast drzwi swoich, drzwi pokoju Julci. Nieraz się potem zastanawiał, jak to się stało, i nie mógł sobie uprzytomnić. To tylko jest pewne, że nigdy by na coś podobnego sobie nie pozwolił świadomie. Wszedł po ciemku i nie zapalając świecy, usiadł na pierwszym z brzegu krzesle, i patrząc na okna, przez które widać było niebo niebieskie od niewidocznego księżycy, zdjął buty i skarpetki – najważniejsze części swojego ubrania, poza tym nie miał na sobie dużo, lekkie okrycie ciała spoczęło obok krzesła. Podeszedł do łóżka i tutaj spostrzegł pomyłkę swoją, zaśmiał

się cicho i sam nie wiedział już, dlaczego począł ową pomyłkę kontynuować: sam grać przed sobą. Dotknął leżącej dziewczyny, ale ona się nie ruszyła, siadł przy niej, spała. Wyciągnął się obok niej i poczuł całą rozkosz jej ciała przez cienkie prześcieradło. Po chwili zrozumiał, że Julcia nie śpi, i zmartwił z tego wrażenia. Leżeli tak przy sobie przez długie chwile, nie mówiąc ani słowa, powściągając oddech. Pomału, nieznacznie, jak wskazówki zegara wykonali cały szereg zmian pozycji, aby się przybliżyć ku sobie, objąć, przycisnąć. Nigdy w życiu Wiktor nie zapomniał tego wrażenia, jakiego doznał, poczuwszy pod dłońmi skórę tej dziewczyny. Było to coś tak skończenie pięknego, ciepłego i materialnego jak kwiat. Nie wie, dlaczego nie powiedzieli nic do siebie. Dlaczego symulowali nawzajem przed sobą całkowicie nieprawdopodobną komedię snu. To, co robili, wykluczało wszelką możliwość nieświadomości. Wiktor czuł takie natężenie wszystkich sił erotycznych w sobie, że ogarniał go jakiś bolesny zachwyt, każde przesunięcie ręką po ciele Julci przyprawiało go prawie o omdlenie. Że nigdy przedtem nie odczuwał nic podobnego, to nie dziwota, bo jakież tam to był ten jego dotychczasowy mizerny erotyzm, ale nigdy potem się to nie powtórzyło i wspomnienie tej pierwszej nocy miłosnej, bardzo gorącej i cichej, nosił w sobie przez całe życie. Nigdy już nic, żaden owoc ani żadne ciało nie miało tego dotyku, tej sprężystości w ugięciu się, tego atlasu, co młode piersi Julci wtedy w Wilku. Nie spali, udając sen, do świtu. Wtedy Wiktor zabrał swoje rzeczy i przekradł się do swojego pokoju. Zasnął wtedy naprawdę jakby snem kamienia i zbudził się dosyć późno.

Julcia wcześniej rano wyjechała z matką do Warszawy, tak że się z nią nie zobaczył, dopiero na trzeci dzień pod wieczór. Grał w tenisa z Jolą i Kazią na podwórzu, skąd było widać drogę idącą od stacji. Zobaczył Julcię siedzącą obok swej matki, ubraną w migdałowy kostium z czerwonym krawatem. (Ukradł jej potem ten czerwony krawat i długo miał w swoich rzeczach, aż wszystko razem gdzieś się zgubiło). Obojętnie zwrócona w stronę kop na polu, nie spojrzała na grających, potem dopiero po podwieczorku przyszła do nich i grali razem, jak gdyby nic nie było. I nie powiedzieli do siebie od tego czasu ani słowa. Owszem, rozmawiali o potocznych rzeczach, jeździli nawet razem na spacer, zachodził do niej po książki, znajdowali się



bardzo często sami w osobnych pokojach, w lesie, na łódce; ale o tym nigdy ani słowa.

Zdarzenie to nastąpiło pod koniec lata i Wiktor niedługo już pozostawał w Wilku. Jednak dwa razy jeszcze przychodził do Julci i wszystko odbywało się tak samo, w niemej komedii niemożliwego snu. I zawsze zostawała taka noc we wspomnieniach Wiktora, jak zetknięcie z czymś nieskończenie pięknym i pachnącym, tak jakby w tych nocach nie było nic cielesnego, tylko jakieś nabożeństwo. Zwłaszcza trzecia noc – było to w przeddzień jego wyjazdu – zostawiła mu wspomnienie takiej pogody i słodyczy, jak letni dzień spędzony nad morzem.

W następnym roku mieszkał u wujostwa, dorywczto tylko przychodził na lekcje z młodszymi dziewczynkami, późno przyjechał, a już sławetny pierwszy sierpnia odwołał go do miasta. Ale odważył się tym razem na rzecz szaloną. Raz, po długich namysłach i wahaniach, przyszedł tu w nocy, wlaź na podmurówkę, stamtąd na gzyms i wszedł przez okno do pokoju Julci. I tym razem nic mu nie powiedziała, a noc była taka sama, parna i pachnąca.

Te cztery noce, najpiękniejsze noce jego ciała, przypomniał sobie pomiędzy pytaniem a pytaniem, jedząc groszek z grzankami i kurczęta, gdy patrzył na rysy pięknej, otyłej i obcej kobiety, która siedziała niedaleko i mówiła tak dużo, jadła też dużo, błyskając brylantami pierścieni i władczym tonem rzucając matczyne nakazy Feli i Kici, które siedziały z Antosiem i bonami na szarym końcu stołu. Dotychczas zawsze myślał, że się spotkają na starość z Julcią i że się z nią ugadają, wyjaśnią sobie wszystko, że powie jej, iż nigdy jej nie kochał, a zawdzięcza jej tyle, jak żadnej kobiecie w swym życiu, że to było takie dziwnie piękne. A przy tym chciał się dowiedzieć, czym były te noce dla niej, czy także je wspomina.

Ale teraz widział, że wszystko na próżno. Pytania i niedoszłe rozmowy utonęły na zawsze, nigdy sobie o tym nie powiedzą i jak wtedy udawali, że śpią, tak teraz muszą udawać, że nie pamiętają.

Zaraz po kolacji zwrócił się do Kazi z prośbą, aby go odesłały końmi do Rożków. Jakoż, nim jeszcze skończyli pić kawę w gabinecie, z dawnych złożonych filiżanek, które „mama” ocaliła, zaturkotało przed ganikiem i Antoni zajechał. Wiktor pożegnał się czym prędzej i wszyscy od-

prowadzili go na ganek. Gwar zrobił się straszny. Julcia zapraszała go, aby przyjechał jutro na obiad, pozna jej męża, Kaweckiego. Ale Wiktor odpowiedział, że się wujostwo obrażą.

– Jutro muszę zjeść obiad z wujostwem, przyjdę na podwieczorek, a za to dopiero pojutrze będę na obiedzie!

Mówił wesoło i wskoczył do powozu jak młodzik, przyjemnie mu było, że go tu lubiano i pamiętano o nim. Panie też były gwarne i wesołe. Wszystkim ubyło tych lat piętnaście i każdy był z tego zadowolony.

– Pan się nie ożenił jeszcze, a nam już wszystkie panny za mąż powychodziły – powiedział sentencjonalnie furman, stary Antoni.

– Nie wszystkie, jest jeszcze panna Tunia – odpowiedział Wiktor.

– E, takie tam dziecko – sarknął Antoni i machnął biczem. Widać dla niego też czas stanął przed piętnastu laty.

W przeciwieństwie do Wilka, Rożki był to domek bardzo skromny i skromnie prowadzony. Wuj, niegdyś ekonom, dorobił się, ciotka mu pomogła handlując kurami, folwarczek był malutki, ale rządny i mądrze utrzymany. Dom też niewielki, skromny, w posiłkach przebijający się własnymi środkami, to znaczy drobiem, ogórkami i kwaśnym mlekiem. Ale też Wiktor ogromnie lubił tę pracowitą, własnoręczną skromność.

Tym razem jednak nie siedział długo z wujostwem, tyle tylko, co należało; przyznał się do tego, że zaszedł do Wilka, ciotka pokiwała głową: „Mój Boże, najlepsze panny sprzed nosa ci zabrali!”. Wuj na nią huknął, głupkowata Kasia, duplikat takiej samej Walerci sprzed lat piętnastu, zaniósła przed nim lampę do zimnego, dusznego pokoju. Wiktor został sam.

Chodził tam i z powrotem po tym pokoju, jak u siebie w Stokroci, ale trzeba przyznać, że nie myślał ani o jednym z tamtejszych kłopotów, ani o jednej sprawie, co go tak irytowały i tyle mu krwi psuły. Zapadły się one nagle pod ziemię, a Wiktor prowadził most od dwóch pamiętnych lat młodości, skromnych zresztą w zdarzenia, jakie przepędził w Wilku i w Rożkach. Słyszał teraz z rozmów swoich inteligentnych przyjaciół, Jurek mu o tym coś mówił, że się ludzie wiele zajmują ideą czasu, że piszą książki o przewyciężaniu czasu. Otóż jemu się wydało, że on także przewyciężył, przeskoczył czas

i potrafił go zawrócić. Że stoi teraz tam, gdzie był przed piętnastu laty, i że teraz może wybrać!

Teraz dopiero rozumiał, co było urokiem tamtych dwóch lat i dlatego tak łatwo mu się one uplastyczyły. To był nieuświadomiony, młodzieńczy erotyzm, jaki się rozlewał w powietrzu naokoło sześciu dziewcząt ładnych i przyjemnych. To było to, co i dla nich miało wówczas znaczenie, i dlatego one tak dobrze o nim pamiętały. Powtarzały mu najdrobniejsze jego słowa, czyny, jak naprawił dzwonki, jak czyścił sobie żółte buty kwaśnym mlekiem.

Wszystko, co wtedy się działo, to były nieuświadomione zapowiedzi rzeczy, których nie zrealizowali. Ale on przerzucił most, zawrócił czas, teraz można zrealizować wszystko, co się wówczas zapowiadało. Wówczas to było cielące szczęście, ale teraz on stał się już dojrzałym mężczyzną, potrafi zrealizować to, co wtedy było szkicem, chwiejnym rysunkiem. Tak, oczywiście. Dotychczas niewiele urzeczywistniał, ale to były przyczyny wyższe, warunki. A zresztą, dlatego pewnie wszystko odkładał, że podświadomie czuł, że wróci tutaj, że będzie znowu na podwieczorku w Wilku, a to jest przecież takie zupełnie, zupełnie inne niż wszystko, co było dotychczas.

Julcia, niestety, nie liczy się. Wszystko z nią związane, nieodwołalnie zamknięte, nawet nie potrafi się z nią rozmówić. Ona – to jest zamknięta książka. Zupełnie inna, niepodobna, skończona. Jednak te lata nie zawsze dadzą się przeskoczyć. Kazia nigdy nie miała żadnego znaczenia, ale inne? Jola, Zosia, Tunia. Biedna Fela, byłaby teraz najładniejsza, ale umarła. Otworzył drzwi do przyległego pokoju, gdzie słyszał jeszcze głosy wujostwa. Ciotka czesała przed lustrem długie, siwe włosy.

– Kiedy umarła Fela? – zapytał gwałtownie. – Nic o tym nie wiedziałem.

– A bo to jeszcze podczas wojny – powiedziała ciotka. – Zaraz po ślubie Julci.

– A na co?

– Na hiszpankę, mówili. Serce zawsze miała słabe.

– Bój się Boga – taka dziewczyna! – sapnął wuj już spod pierzyny.

– No, to dobranoc wujostwu.

– Dobranoc.

Wiktor wycofał się znowu do swego pokoju. Wreszcie ułożył się w wysokim, drewnianym, mocno skrzypiącym łóżku. Sen długo nie przychodził, męczył go zapach świeżo upranych prześcieradeł i słomą napchanych sienników. Wreszcie zasnął, zbudził się potem i już był dzień. Za oknem gdakały kury, piał kogut, ciocia dyskutowała o czymś z Kaźmierzową, jednym słowem, nastrój Rożków w całej pełni. Ubrał się leniwie i włóczył po ogrodzie niewielkim i olbrzymim podwórzu, napełnionym mnóstwem narzędzi wuja Roberta. Oglądał bezmyślnie siewniki i rozpylacze, a czekał niecierpliwie obiadu, który na szczęście bywał bardzo wcześnie, jak to u ludzi zdrowych. Chciało mu się dowiedzieć czegoś ze strony, z boku, o wilkowskich pannach, jak je nazywano. A ciotka była kroniką całej okolicy. Na pewno uzupełni mu wiadomości, których skąpił sobie od tych czasów.

Niestety, gdy obiad nastąpił (krupnik i siekane kotlety), niewiele się mógł dowiedzieć. Wuj nie dał dojść do słowa ciotce i trochę w kółko zapytywał Wiktora, co ten robi, co robił, o dawno minione dzieje, jak wojsko rosyjskie, Murman, przeprawy do Francji i odwrót spod Kijowa. Za każdym pytaniem wuja Wiktor patrzył na niego przez chwilę ze zdziwieniem, potem siłą musiał uprzytamniać sobie swoje minione życie.

– A tak, tak, proszę wujaszka... – mówił i bardzo krótko odpowiadał. Nie mógł odpędzić tych pytań, ale chciał odpędzić te myśli, więcej, chciał odpędzić te zdarzenia i nawet raz powiedział:

– Tak, tak, to było okropne, wołałbym o tym nie wiedzieć.

Dotyczyło to najmniej okropnego epizodu jego przeszłego życia, mianowicie dość wesołego i niefrasobliwego pobytu w Archangielsku, ale teraz dopiero wydał mu się ten świat bez kobiet, przez który przebrnął z trudnością, czymś doprawdy okropnym. Ciotka od razu wyczuła, że Wiktor nie chce mówić o tamtych czasach, a jeszcze mniej o terażniejszej swojej pracy, którą wszyscy krewni uważali za wielki upadek kariery Rubena. Ale wuj nie dawał jej przyjąć do słowa. Wreszcie, gdy się już pod koniec obiadu Wiktor dorwał do pytań, musiał wysłuchać całej genealogii rodziny Kaweckich, ich pokrewieństw, czym się Kaweckie trudnił, jak się teraz doskonale zajął Wilkiem i jego folwarkami, potem, jak Wilko obecnie prosperowało, ile mieli krów, ile owiec i ile zasadzili w tym roku buraków. Potem opowiadała mu cio-

cia, jak się obie córki Julci rodziły, jedna w Warszawie, druga w Wilku, i ile z tym było kramu. Ostatecznie mniej go to niecierpliwiło od pytań wuja. Wstał od stołu w dobrym humorze i powiedział:

– Proszę cioci, ja na podwieczorku nie będę. Obiecałem już, że przyjdę do Wilka.

Ciocia się uśmiechnęła.

– Mój drogi – powiedziała – my tutaj to już nie bardzo nacieszymy się twoim widokiem.

– Cóż robić? – westchnął wuj – młodzi zawsze jednakowi.

– Młodzi? – zaśmiał się Wiktor. – Niestety, wujaszku, już nie młodzi.

Ciotka zamachała rękami:

– Młodszy jesteś, niż dawniej byłeś, a piękniejszy w każdym razie. Właśnie do wuja mówiłam: kto by to pomyślał dawniej, że z ciebie taki piękny chłopiec wyrośnie. Jak tu bywałeś, to tylko Kazia i Jola uważały, żeś przystojny, a wszyscy się śmieli z tego. Chudy byłeś i wysoki jak koń angielski, a teraz przyjemnie popatrzeć. Wilkowskie panny pewnie pożałują, że na ciebie nie poczekały. Zresztą, teraz zamążpójdzie to tylko próba...

Wiktor, pogwizdując, pobiegł do swego pokoju i zmieniając krawat na ciemniejszy (jednak nie tylko dwie koszule zawierała jego teczka), przypatrywał się swojej twarzy w lustrze. Pewnie, że przystojny, tylko zaniedbany, rysa na policzku – muśnięcie kuli. Kąty czoła zbyt wgłębione w kędzierzawe włosy; gdy się co dzień golił, to zaraz lepiej wyglądał. Jak gdyby czyściej. Niedawno dowiedział się o tym, że miał ładne oczy. Powiedział mu to ktoś zupełnie bezstronny, któryś z kolegów. Janek, zdaje się. W ogóle zawsze myślał, że był bardzo brzydki, i to go jeszcze bardziej onieśmiało. W Wilku przy stole rzadko się odzywał, stronił od ludzi, przychodził niezauważony i był do wczoraj przekonany, że nie zasługiwał na żadną uwagę. Chodził czytać do ogrodu na wzgórek pod sosnami, ale ukrywał się z tym, co czyta, bo panny bardzo szydziły z jego lektury. Schillerowi zwłaszcza dostało się i Nietzschemu. Co prawda, Nietzschego sam wówczas niewiele rozumiał. Zachwycał się za to dwiema książkami, które miały dla niego zasadnicze znaczenie: *Science et hypothèse* Poincarégo oraz *Ewolucja twórcza* Bergsona. Dlaczego właśnie te książki, a nie inne?

Był to jeden z tych niewiadomych skoków młodości, która wybiera nieokreślone rzeczy z niewiadomych powodów i powołuje się raz na Nietzschego, odrzucając Bergsona, to znowuż faworyzuje francuskiego pisarza, nie lubi Nietzschego, nie może zrozumieć najprostszej myśli Hegla, a studiuje trudności Kanta. Zresztą, to wszystko ma gdzieś. Nie czytuje ani Kanta, ani Bergsona, nie czytał ich od tamtych czasów ani razu. Ani w Archangielsku, ani jako podstarosta w Rudkach, ani jako zarządzający w Stokroci nie miał na to czasu. Zapewne teraz także nie weźmie się do książek.

Włożył kapelusz, wziął szpicrutę wuja i uderzając nią po udzie, wyszedł przed dom. Dzień był ciepły i jasny. Zapach suszonej trawy, piołunu roztopił się w powietrzu, a chociaż niebo jaśniało, niebieskie stawy i wszystkie wody, jakie spotykał po drodze, były białe.

Nie wiedział dlaczego, ale myślał cały czas o Feli i jej przedwczesnej śmierci. Fela byłaby może ładniejsza od Joli, dorodniejsza, mocniejsza; trzymała się zawsze prosto i z dziecinną powagą nosiła, jak pełne naczynia, małe, ledwie rozwinięte piersi. Pamiętał ją jak dzisiaj. Natomiast we wszystkim, co dzisiaj słyszał od ciotki, co przebijało pomiędzy jej słowami a pytaniami wuja, była pewna niechęć do Joli. Może nawet nie tyle niechęć, ile jakieś ciche potępienie; o mężu Joli, który zresztą prawie nigdy do Wilka nie przyjeżdżał, ciotka mówiła z widocznym smutkiem w głosie; wyliczając gości bywających w Wilku, o kilku panach mówiła dosyć niewyraźnie: „przyjeżdża”, „zaprzyjaźnili się”. Wiktor określił to dokładnie i dosadnie, przechodząc ponad stawem ku wyciętemu lasowi i ku szosie; machnął szpicrutą po leszczynie, aż poleciały liście ciemnozielone, i powiedział: „Puszcza się po prostu”. Nie sprawiło mu to określenie żadnej przykrości, ale też było jak gdyby wykreśleniem Joli z programu. Szkoda jednak, ładna jest jeszcze bardzo, ale nie mógł określić, do czego odnosi się to „szkoda”.

Obiad w Wilku bywał daleko później niż w Rożkach, dlatego też Wiktor, nie obliczywszy się, przyszedł zaraz po sprzątnięciu ze stołu, wszystkie damy porozglądały się po swoich osobnych pokojach, a gdy zajrzał do dziecinnego, zobaczył tylko Felę i Kicię, leżące po obiedzie na płaskich, osobno w tym celu zbudowanych pochyłych deskach; zachmurzone i brzydkie, nic nie odpowiadały na jego „dzień

dobry”. Panie wszystkie były na górze, tamte cztery pokoje służyły teraz Julci z mężem, Kazi z Antosiem, Zosi z Heniem i Tuni. Jola nie wyprowadzała się ze swojej „alkowy”, całkiem ją zamieniwszy na sypialnię. Na górze pachniało teraz rezedą i wodą kolońską, świeżą bielizną, prześcieradłami, pudrem, jednym słowem: kobietami. Zapukał do pokoju Julci, wszedł i zastał ją leżącą na kanapce w różowych szlarkach całą, bardzo dorodną i piękną. Obok niej na fotelu, z nogami na stołku, siedział jej mąż Kawecki, przystojny, okazały w jasnym, bardzo porządnym ubraniu. Wiktor poczuł dla niego od razu całą niechęć zaniedbanego mężczyzny do eleganta, poza tym Kawecki gadał bez przerwy rzeczy banalne, inteligentne, ale zupełnie oczywiste. Mówił o wszystkim, co Wiktor i Julcia przyjmowali do wiadomości, co leżało w założeniu, co wiedzieli i odczuwali. Miał styl zbliżony przy tym do powiedzenia: „Miło jest w dzień pogodny zrobić wycieczkę na świeżym powietrzu”. Wiktor na próżno starał się go sprowadzić na zagadnienia czysto gospodarskie, którymi sam się interesował. Miał zamiar dowiedzieć się naprawdę czegoś od doskonałego gospodarza i skorzystać z tych wiadomości przy prowadzeniu gospodarstwa w Stokroci. Tak na przykład chodziło mu o kalkulację gospodarstwa mlecznego w majątku, położonym dalej od Warszawy, kwestię „mleko czy masło?”, dostawy, taryfy, koszty transportu do najbliższej stacji. Ale Kawecki niechętnie poruszał te tematy. Wołał mówić rzeczy oderwane i niepotrzebne, jak to, że niebo jest niebieskie, że gorąco, że kurz jest latem dokuczliwy, że muchy należy tępić flitem. Wiktor nie wytrzymał i spytał się o Jolę.

– Jola ma dzisiaj gości – powiedziała Julcia. – Przyjechali z Edwardem (Edward to był Kawecki) z Warszawy, nie będzie mogła ci towarzyszyć. Jeżeli się chcesz przejść po podwieczorku, to Zosia może pójść z tobą.

Wiktor wyszedł na korytarz i zastanowił się, jak ma zawołać na Zosię. Pomyślał, że będzie najlepiej tak, jak dawniej: „Zosiu”. Odezwała się tuż obok w jego dawnym pokoju, wszedł tam i zobaczył znowuż Zosię, leżącą na kozetce, sytą i białą, pomyślał, że i ta też była skłonna do otyłości. Obok niej, w wózekczku przykrytym gazą, spał jej synek. Zosia mówiła zupełnie głośno.

– Możesz się nie krępować jego obecnością – powiedziała do Wiktora – on swoje dwie godziny po obiedzie musi odespać, żeby tam armaty waliły. Przed czwartą się nie obudzi. Prawdziwy mężczyzna!

– A ty musisz go tu pilnować?

Zauważył, że Zosia bez najmniejszego omówienia tej kwestii mówiła mu po imieniu, jak starsze siostry. Oczywiście tak było najprościej, ale przecie należało to określić wzajemną umową.

– Nie – nie muszę, zaraz przyjdzie panna Franciszka.

– A czy nie chciałabyś pójść ze mną na podwórze albo do ogrodu?

– Och, to chyba po podwieczorku. Teraz jestem za leniwa. Tunia cię oprowadzi, ona ma zapał i zdrowie – zaśmiała się, pokazując białe, mocne zęby, największą ozdobę swojej świeżej twarzy. Uśmiech także miała bardzo miły.

Wiktor czuł, że między nimi na zawsze niezapomnianą przegrodą pozostaną ich dawne lekcje i antypatia, jaka się między nauczycielem a uczennicą wytworzyła z powodu jej lenistwa, a jego niechęci. Pierwotne urazy tych spotkań pozostawiły stałe ślady i Wiktor czuł w Zosi, spokojnej kobiecie oddanej trawieniu i macierzyństwu, ową dziewczynę, która pogardzała nim, robiła mu sceny w gorące, letnie południa, kiedy z nią przerabiał łacinę, a dziewczynie chciało się jeździć konno. Nazywała go wtedy ekonomem, jego wuja rządcą i do pasji ją doprowadzała równowaga Wiktora, którego zwłaszcza tak demokratyczne wymysły nie mogły wyprowadzić – rzecz prosta – ze spokoju. I teraz szukał w słowach Zosi, w jej wymówkach, że nie może iść na spacer, w jej pytaniach, których kilka mu zadała, wykazując wielkie wyrobienie towarzyskie i konwersacyjne, szukał śladów dawnej pogardy. I przyznał, że je znajdował. Łatwość, z jaką przeszła z nim na „ty”, pytania, które jakoś omawiały, omijały kwestię jego pracy i zarobkowania, które nie mówiły także wszystkiego ani o jej siostrach, ani o jej mężu, który pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych (po jego nazwisku sądząc, Wiktor wiedział, że jest wicekonsulem w Lubece) – wszystko to do pewnego stopnia było tej pogardy i antypatii leciutkim wyrazem i pokrywką. A przy tym Wiktor czuł, że mu się ta mała Zosia, wówczas bardzo nieznośna, a która teraz była najbardziej damą ze wszystkich sióstr, ogromnie podobała. Imponowała mu spokojem, niefrasobliwością i umiętnością cienio-



wania słów. Przy tym rzeczywiście była ładna i młoda, senna, trochę ociężała i jakby zmęczona swoją cielesnością. Miał w stosunku do niej coś z uczucia chama, który pragnie zgwałcić swoją panią, toteż naumyślnie był bardziej ordynarny i obcesowy w słowach, niż miał to we zwyczaju. Zosia udawała, że tego nie widzi – mimo iż miał iść na podwórze i do ogrodu, przegadali tak do czwartej, w której to godzinie coś zaszamotało się pod gazową pokrywką i odezwał się głos Henia, od razu energiczny i wyraźny, nic w sobie ze snu nie mający. Małego zabrała panna Franciszka, ubrała go w oczach zachwyconej Zosi i obojętnego na te wdzięki Wiktora, i wreszcie nadeszła godzina podwieczorku.

Podwieczorek ten rozczarował Wiktora. Za dużo było obcych osób i wszyscy byli jak gdyby skrzepowani wczorajszą wesołością. Zresztą, wczoraj był sam z paniami, które znał dobrze, a teraz zjawili się mnóstwo ludzi, którzy – jemu nieznani ani jego znający – nabrali w Wilku przez tych lat kilkanaście zasadniczego znaczenia. Przede wszystkim Kawecki, tronujący obok Julci i nadający cały ton zebraniu. Widać było, że ani Kazia, ani Jola nie darzyły go sympatią, a Wiktor domyślał się, że musiały w tym domu zachodzić skomplikowane zagadnienia materialne, dotyczące podziału dochodów z Wilka i w ogóle działów, ponieważ właśnie najmłodsza z siostr była od roku pełnoletnia i musiała niedawno do tych aktów przystąpić. Mama nie zeszła wcale na podwieczorek, a Jola bardzo się spóźniła, nadeszła, pomimo dwukrotnego gęstego brzęku gongu, po pewnym czasie dopiero przez szklane drzwi od ogrodu w towarzystwie dwu nieznanym panów, z których jeden był w mundurze wojskowym. Wiktor, rozmawiając z Kaweckim, widział, jak przeszła przez werandę bardzo wesoła i uśmiechnięta. Pamiętał, że Jola miała bardzo krótki wzrok, a teraz spostrzegł, że wada ta rozwinęła się do tego stopnia, iż Jola, idąc przez werandę, garbiła się trochę, patrząc ciągle pod nogi; a że przy tym miała w ręku wysoką trzciniową laseczkę, nadawało jej to wyrazu nieoczekiwanie starczego. Ale gdy podnosiła głowę, aby spojrzeć na jednego ze swych towarzyszy, olbrzymi biały kapelusz, który przed chwilą przykrywał ją jak grzyb, stawał się słoneczną aureolą naokoło roześmianej, cienkiej, podłużnej twarzy. Jakaż była ładna! W słonecznym świetle jasnego popołudnia można to było dopiero

zobaczyć. W pokoju ruszała się normalnie, bystro, żwawo, wzruszając cienkimi ramionami, obnażonymi z białej lekkiej sukni. Śmiała się do wszystkich, do Kaweckiego nawet, z Wiktorem witała się serdecznie i przedstawiała mu obu eleganckich panów, z których każdy był bardzo ładny i wypielęgowany. Zwłaszcza skóra nad sztywnym kołnierzykiem wojskowym oficera doprowadzała Wiktora do pasji, była niezmiernie biała, podbita tłuszczkiem, wykarmiona i odżywiona jak na gatunkowym, włoskim wieprzu. Sam rotmistrz był chudy, zresztą zgrabny, wysoki i miał niezmiernie piękne ręce. Rozmowa przy stole była ożywiona, zabawna, zdawkowa jednak bardzo i towarzyska. Obecność nieznanomych panów bardzo zmroziła Wiktora i podwieczorek, na który tak się cieszył, znudził go ostatecznie. Zwrócił się do Tuni, która, chuda i z rozszerzonymi oczami, siedziała już prawie między dziećmi.

– Widzę, że tylko Tunia zostaje mi, aby oprowadzić po Wilku i pokazać, co się zmieniło – powiedział. – Pójdziemy na spacer? Dobrze?

Tunia mruknęła „tak” i pogрузzyła swe usta i oczy w białej filiżance z mlekiem. Coś jeszcze niezmiernie dzieciennego i podlotkowego było w jej zachowaniu się i Wiktor bynajmniej nie dziwił się Antoniemu, że nazwał ją „takim dzieckiem”.

I rzeczywiście, po podwieczorku ruszyli na spacer. Kaweckci z Julcią poszedł na inspekty, aby jej tam coś pokazać, Kazia miała z Antosiem lekcję, Jola znowu w cieniu płóciennego kapelusza zajęła leżak na werandzie i otoczyła się „swoimi panami”. Tym razem Zosia dotrzymywała jej towarzystwa.

Wyszli przed ganek i zatrzymali się przez chwilę, patrząc na śliczny widok, jaki się stąd rozlegał. Zaraz za podjazdem zaczynał się równy, dość wąski kanał i ciągnął się w alei starych grabów, jak strzała, wyprostowany i przejrzysty, przynajmniej na jaki kilometr. Na zakończenie tego kanału u wylotu alei stał duży młyn drewniany, a za młynem zaczynała się wieś parafialna.

– Czy lubisz dużo chodzić? – spytał się Wiktor Tuni.

– A pan? – zapytała się.

– Przede wszystkim nie możesz do mnie mówić „pan”. Wszystkie twoje siostry mówią do mnie po imieniu.

– Na razie to mi będzie trudno – szepnęła zmieszana. – Pan jest o tyle ode mnie starszy... – tu się jeszcze bardziej zmieszała i poczer-

wieniła, aż po proste łuki brwi. – Ojej – zawołała – palnęłam jakieś głupstwo.

– No, nie, to nie jest wcale głupstwo, masz rację, moje dziecko. – Wiktor nadrabiał miną, choć rzeczywiście powiedzenie Tuni nie sprawiło mu żadnej przyjemności. – Pamiętam cię zupełnie malutką, miałaś zawsze przestraszone oczy... najbardziej wtedy, gdy wpadłaś zdyszana do salonu i zawołałaś przestraszona: „Ojej, kura mnie gonila!”.

Śmieli się oboje. Obeszli podjazd i poszli wzdłuż kanału, wymijając główną drogę.

– Zawsze chodziłem z Felą w stronę młyna – powiedział Wiktor – a ty pamiętasz dobrze Felę?

– Pamiętam – powiedziała obojętnie Tunia – ale to już dziesięć lat, jak umarła...

– Wiesz co, chodźmy teraz na cmentarz?

– Dobrze – zgodziła się Tunia – to przecie niedaleko.

Całą drogę, co szli wzdłuż grabów, Wiktor mówił o Feli, wspominał jej różne powiedzenia, spacer z nią, zabawy. Fela wieczmie siedziała na stawach, w wodzie, kąpała się całymi godzinami, bo bardzo dobrze pływała. Bawiło ją to ogromnie. Tunia słuchała obojętnie i uwagi, którymi przerywała opowiadanie Wiktora, świadczyły, że myśli zupełnie o czym innym. Dotyczyły one urodzajów na polach po obu stronach alei, połowu raków i ewentualnej hodowli ryb, którą projektował Kawecki. Myśli ich płynęły tak równoległe, jak gdyby szły dwiema stronami kanału – nie spotykały się, ale też nie przeszkadzały sobie.

O jednej scenie nie mógł jej opowiedzieć. Było to ostatniego lata, na parę tygodni przed wybuchem wojny. Wracał kiedyś przed wieczorem z jakiegoś polowania, na kaczkę, zdaje się, bo lubił tak chodzić sobie z fuzją tu i ówdzie, choć niewiele nastrzelał. Miał zająć do Wilka na kolację i nagle wyszedł z zarośli wierzbowych na łączkę nad stawem. Pośrodku łąki stała plecami do niego Fela, całkiem naga, i żółtym grzebieniem rozczesywała niedługi warkocz; zwracając się do siedzącej naprzeciw niej Joli, ubranej w czerwoną suknię, mówiła coś czy opowiadała. Wiktor zatrzymał się gwałtownie. Słońce miał za sobą przed samym już zachodem i żółty blask padał na całą grupę, dokładnie oświetlając białe kształtne ciało Feli i czerwoną suknię jej siostry. Jola zobaczyła Wiktora i patrzyła na niego bez słowa z przerażeniem; Fela

poszła za jej wzrokiem i, zobaczywszy go, spojrzała na niego zdziwiona przez ramie: „Dlaczego nie przechodzisz?” – powiedziała spokojnie i bez popłochu. Ale nagle wrzasnęła gwałtownie, przypadła do ziemi i schowała się błyskawicznie za Jolę. „Zapomniałam, że zrzuciłam trykoty!” – wołała, śmiejąc się trochę, a jednocześnie bardzo zażenowana. Wiktor zawrócił w wierzbowe zarośla i czekał tam, aż się Fela ubierze. Zamykał oczy i wciąż widział przed sobą w białym oświetleniu Felę, czeszącą się i spokojnie zwracającą ku niemu swój profil. Pachniało wtedy pomiędzy wierzbami goryczą mokrych lasków – i teraz, ilekroć poczuł taki zapach, przechodząc obok kanału, wypływała przed nim ta grupa. Fela ubrała się wtedy i uciekła naprzód, nie chcąc się spotkać z Wiktorem, a oni wracali z Jolą; czuł się wtedy bardzo mężczyzną, z fuzją za plecami, przy pięknej Joli, i zabawne zażenowanie i nieporozumienie Feli napełniało go raczej pogardliwą wyrozumiałością. Uważał Felę za „małą”, coś zaledwie starszego od Zosi, i nigdy nie patrzył na nią inaczej, jak na dziecko. Teraz czuł, że może się mylił. Nie tylko teraz scena ta przychodziła mu na pamięć. Wypływała jako typowy jego „pejzaż” – na Murmanie, kiedy tak bardzo długo nie widzieli ani jednej kobiety. Albo podczas wyprawy kijowskiej, kiedy spał na łóżku, na którym przed chwilą zakłuto Żyda, i czuł mdły zapach krwi w powietrzu, ale sen był ważniejszy od wszystkiego, od zboliałych i poobcieranych nóg, od widoku śmierci i ran, z którym się przecie miał czas przez tyle lat oswoić; i wtedy właśnie wypływał obraz kąpiących się kobiet, pławiących się w spokojnym świetle zachodzącego słońca.

Jednak widział, sumując dopiero teraz te rzeczy, że nie zapomniał on tak bardzo o Wilku; że myślał o nim częściej, niżby się zdawało. Że w każde wolne oko jego świadomości wpadało zaraz coś z tamtej epoki, obraz którejś z tych kobiet. Spojrzał na Tunię, szła obok niego wiotka, „kroczyła” raczej, jak archanioł obok Tobiasza na obrazie Giorgiona, stawiając osobno długie nogi. I w całej tej manierze chodzenia, w lekkim pochyleniu naprzód, w oczach, które przeslizgiwały się po dalszych obiektach z krótkowzroczną obojętnością, spostrzegł zadatek na starcze chodzenie Joli. „Za lat piętnaście będzie tak samo chodziła” – pomyślał.

Do cmentarza było niedaleko, za młynem zaraz zaczynała się

wieś, a na prawo na wzgórzu, za pierwszymi domami, leżał cmentarz. Szło się tam zboczem, potem trochę w dół, gdzie stała krynica z żurawiem, z czterema srebrnymi białodrzewkami, a potem była brama. Samo pole boże też było zasadzone gęsto drzewami i szczelnie wypełnione małymi, zacierającymi się wzgórkami, pod którymi odpoczywali ludzie. Krzyże, powalone i nikłe, gdzieś tam tylko sterczały nad nimi. Trzeba było przejść to mrowie, aby dojść, pod samym już murem okólnym, do grobu rodzinnego państwa z Wilka. Ale i on już był przepełniony. Felę położono opodal w kącie, przy zbiegu dwóch murów, ułożonych z polnych kamieni. Nad grobem stał krzyż brzo-zowy otoczony sztachetami, ale mogiłka była zaniedbana. Wiktor popatrzył na ten wzgórek, na którym nie było ani jednego kwiatka, i zrozumiał, że jego pytanie o Felę nie dlatego było niestosowne, że poruszało świeżo zabliźnioną ranę, ale dlatego, że budziło rzeczy dawno zapomniane. Tak, z tego, co mówiła mu dziś Tunia, z tego, jak wyglądał ten grób, wynikało dobitnie, że o Feli nikt już nie pamięta.

– Mama tu często przychodzi? – zapytał się Tuni.

– O, mama teraz prawie się nie rusza. Niedobrze się czuje.

Wiktor stał nad mogiłą i nie wiedział, co teraz ma powiedzieć, co jeszcze ma pomyśleć. Zapomnieli o jej istnieniu nawet, a któż by dopiero pamiętał jej ciało oświetlone zachodzącym słońcem. On sam tylko na świecie ma taką tajemnicę, kto wie, może jadąc tutaj, myślał tylko o tym, że spotka się z Felą. Nie, nie myślał o niej, wie o tym dobrze i wcale nie myślał o Wilku, dopóki nie zrobił pierwszych kroków na szosie za stacją. Ale ją zastałby tutaj najmniej zmienioną, wtedy była na wstępie, dziś byłaby na końcu najpiękniejszego łuku na moście życia kobiety, prawie taka sama jak wtedy na łące schodziłaby ku dojrzałości, spokojnie może by zwróciła głowę w jego stronę i powiedziała: „Dlaczego nie przechodzisz?”. Albo może: „Dlaczego nie przychodzisz?”. Przyszedł, ale za późno, już to wszystko, co mogło na niego czekać, stało się popiołem. Dziesięć lat – po dziesięciu latach nie ma tam zapewne nic, prócz kilku kości, ani odrobiny z tych szerokich białych pleców wiotkiej dziewczyny, zwróconych pod żółte słońce. Westchnął.

Tunia zaśmiała się lekko:

– Wzdychasz jak zakochany.

Triada Jarosława Iwaszkiewicza: przemijanie, erotyzm i śmierć – nie ma sobie równych w literaturze światowej. Jeżeli uzupełnimy ją o wyrafinowaną zmysłowość, która u tego autora pozostaje w ciągłej kontrze wobec bezprawia istnienia, to w przedstawionym tomie pisarz osiągnął mistrzowskie spełnienie.

Przede wszystkim w *Brzezynie*, gdy do owej triady dołącza i okrucieństwo życia, i jego banal w bezdyskusyjnym pięknie świata. Zakończenie uwodzicielskich *Panien z Wilka* jest niezapomniane w swym spokoju, oczywistości, dyskrecji, niczym podpowiedziane przez Absolut. A *Matka Joanna od Aniołów* to wielka historia miłosna z egzotycznej i jednocześnie prawdziwej, można by rzec udokumentowanej, rzeczywistości.

Renoma pozostałych opowiadań nie dorównuje wymienionym trzem, nie z powodu jakości, ale szczęścia. Utwory jak ludzie – jedne mają go więcej, inne mniej. Zachęcam do przeczytania wszystkich, bo to nieredukowalny kanon polskiej literatury XX wieku. Jego wytworną prostotę odczuwamy tym mocniej, im głębiej tkwimy w wycwanionych i pyskanych czasach. Iwaszkiewicz nie jest sposobem na ich ekscesy, gdyż jak każdy olimpijczyk jest ponad i obok, ale okazją, by przynajmniej na chwilę o nich zapomnieć. To, oczywiście, tylko jeden z powodów, aby *Brzeziny i inne opowiadania* poznać lub do nich wrócić.

Eustachy Ryłski